



# POTĘPIENI

ERA CIENI



AGNIESZKA  
ZAWADKA



AGNIESZKA ZAWADKA

# POTĘPIENI

E R A C I E N I



# PROLOG

*Pachniało białą magnolią.*

*Nathaniel miał wrażenie, że gubi się w tym śnie. Doskonale znanym.  
Powtarzalnym.*

*Zwierciadło odbijało jasne refleksy srebrnego księżyca. Alabastrowe  
drzewo wciąż kwitło.*

*Nieprzerwanie i uparcie.*

*Raven wpatrywała się w niego z niedowierzaniem i złością.*

*Jak wtedy.*

*– Oszalałeś – stwierdziła chłodno. – To miało się skończyć.*

*Zimno. Nad źródłem panował mróz. Jakby w pobliżu szalała Plaga.*

*– Mam dość Władców Cieni. Dość ciebie – dodała z odrazą.*

*Krajobraz się zmienił, sen płynnie przybrał inną postać.*

*Po wilgotnych ścianach spływała woda.*

*Miał wrażenie, że znał to miejsce. Wydawało się bliskie. Rodzime.*

*Za kratami siedziała skulona postać. Od razu wiedział, kim była.*

*– Jak... – zaczął, ale sen nie dał mu dokończyć. Wszystko rozmazało  
się, zanim zdolał przejąć kontrolę.*

\*

Sceneria była podobna. Prawie taka jak zwykle. Noc, zarośła i księżyc rozświetlający opustoszałe rozdroża. Stworek musiał uważać, by nie wdepnąć w którąś z grubych śnieżnych zasp, ale lata doświadczenia podpowiadały mu, gdzie stawiać stopy.

Nadszedł czas na przedstawienie.

– Długa droga za tobą, wędrowcze – wyszeptał zwodniczym głosem.

Samotna postać drgnęła, rozglądając się dookoła. Chochlik wiedział, jak dłoń mężczyzny sięga po rękojeść długiego miecza. Chrząst

stali poniósł się w mroźnym nocnym powietrzu, ale to tylko dodało tej scenie dramatyczności.

W końcu przedstawienie trwało.

– Kto to powiedział? – Męski głos brzmiał stanowczo. – Kim jesteś? Pokaż się!

Chochlik zachichotał, strząsając śnieg z pobliskich pozbawionych liści krzaków. Ostrze nieznanego natychmiast skierowało się w stronę, z której dobiegł hałas.

– Lubisz gry? – zapytał stworek, parszkając z rozbawieniem. Z uwielbieniem patrzył, jak mężczyzna miota się po rozdrożach, nie wiedząc, z której strony pojawi się przeciwnik. Złośliwy skrzat do perfekcji opanował sztukę przekradania się obok ofiary. – Zagrajmy w jedną.

– Pokaż się!

Chochlik westchnął i opuścił swoją bezpieczną kryjówkę. Nieznajomy dopiero po chwili zorientował się, że jego przeciwnik znajduje się za nim. Podskoczył w miejscu, obrócił się we właściwą stronę i ze zdumieniem zlustrował obcą istotę.

*Dziwne, doprawdy dziwne* – myślał karzeł, oglądając twarz mężczyzny w blasku księżyca.

– Czym jesteś?

Stworek przewrócił oczami.

– Wydrą. Albo elfem. Sam wybierz – odparł bezczelnie. Konsternacja na twarzy nieznanego nieustannie go bawiła, ale przedstawienie wciąż trwało. Należało zachować odpowiednią maskę.

– Jesteś Dzieckiem Starej Magii – stwierdził w końcu mężczyzna. – Chochlikiem.

– Och, brawo. Dziesięć punktów dla mądrego *Rai* – krzyknął stworek z udawanym podekscytowaniem. – Chyba zacznym dostrzegać pewne podobieństwa...

– Jakie podobieństwa? Czego ty chcesz?

– Chcę grać! Grać i się bawić! Do tego zostałem stworzony. – Zrobił krok w stronę człowieka. – Powiedz mi, *Rai*, czy masz w sobie żyłkę hazardzisty?

Mężczyzna zmarszczył swoje czarne brwi, lustrując chochlika podejrzliwym wzrokiem.

– Wiem, co z ciebie za jeden. Czytałem o was w książkach. Myślałem, że wyzdychaliście.

Stworek skrzywił się z niezadowoleniem.

– Doprawdy? – odburknął. – W takim razie twoje głupie książki kłamały. Jestem tu i mam się dobrze. A przynajmniej miałem, dopóki jakiś głupi *Rai* nie zniszczył mi humoru...

– Wiem też, że ty i tobie podobni życie z nieszczęścia ludzi. Robicie zakłady z naiwnymi głupcami, a potem...

– Przestań, przestań! – warknął chochlik, ukazując małe kły. – Jeżeli zrobisz dla mnie jedną małą rzecz, dam ci coś, czego pożądasz najbardziej na świecie. – Uśmiechnął się przekornie.

Mężczyzna parsknął i schował miecz do pochwy. Najwyraźniej przestał uważać Dziecko Starej Magii za zagrożenie.

– Jestem *Rai*. Naiwność nie leży w mojej naturze.

– Nie powiedziałbym – mruknął pod nosem chochlik, ale mężczyzna udał, że nic nie dosłyszał.

– Dlatego wybacz, ale będziesz musiał znaleźć kogoś bardziej...

– Powiem ci, gdzie jest twoja córka. – Chochlik przerwał mu chytrze. Widział, jak nieznajomy zastyga w bezruchu. Jak jego mięśnie napinają się mimowolnie. Nawet na twarzy odbiły się emocje, których mężczyzna nie chciał okazywać. – Twoja mała, bezbronna córeczka.

– Przestań! – ryknął groźnie. – To tylko jarmarczne sztuczki. Nie możesz mieć pojęcia o niej... Nie masz prawa wiedzieć, gdzie jest!

– Ależ mam. – Chochlik zachichotał złośliwie. – I powiem ci z dziką rozkoszą, jeśli tylko zrobisz dla mnie jedną małą rzecz.

Stworek znał wyraz, jaki odmalował się na twarzy jego rozmówcy. Widział go już tysiące razy. Najpierw gniew oraz konsternacja. Potem wahanie i nadzieja. A na samym końcu akceptacja. Nieokielzane pragnienie, by zdobyć coś nieosiągalnego. To właśnie dlatego większość ludzi decydowała się na zakład z chochlikiem. Jednym dawał niezapomnianą przygodę, a drugim prawdziwe szczęście.

Oczywiście za odpowiednią cenę.

– Co mam zrobić? – zapytał w końcu nieznajomy. Dziecko Starej Magii uśmiechnęło się szeroko.

– To nic wielkiego. Musisz tylko coś dla mnie ukraść...

Utarii zamachnęła się lodowym mieczem, który wprawnie pokonał nacierającą na nią stal. Przeciwnik na moment stracił równowagę, jego koncentracja skupiła się na odzyskaniu stabilności. W tej samej chwili elfka warknęła krótko i rozchyliła prawą dłoń, korzystając ze swojej przydatnej sztuczki. Lodowy miecz natychmiast wyparował z jej dłoni, po prostu znikł, by po chwili pojawić się w zupełnie nowej formie. Krótki poręczny sztylet wydawał się w takiej sytuacji o wiele pożyteczniejszy, toteż Utarii natychmiast użyła magii, by wymienić broń, i bez ostrzeżenia zbliżyła się do przeciwnika, przystawiając mu sztylet do szyi.

Wokół wciąż unosiła się niewielka chmura pary – efekt użytej przez Utarii sztuczki. Oddechy dwóch walczących złączyły się w całość, powodując, że mroźna atmosfera na bardzo krótką chwilę zrobiła się wyjątkowo gorąca.

– Baw się, póki możesz – warknął pokonany mężczyzna. – Dopilnuję, żebyś w przyszłości błagała o przebaczenie. Dopilnuję, byś pożałowała każdego razu, gdy użyłaś swojej magii w niehonorowym pojedynku.

– Honor. – Utarii splunęła, cofając się od przeciwnika. Lodowy sztylet wyparował z jej dłoni, nie pozostawiając nawet pojedynczej kropli wody. – Myślisz, że ten twój honor w jakikolwiek sposób przyda ci się w nadchodzących czasach? Ludzie nie znają honoru. Żyją zbyt krótko, żeby go pojąć. – Mówiąc to, ostentacyjnie odwróciła się w drugą stronę. Wyglądała na znudzoną, jakby ten pojedynek nie kosztował jej ani grama energii. – Weź pożytek z moich wycieczek na południe, Caronie. Ich nie będzie obchodził twój honor. Zrobią sobie z niego pośmiewisko.

– Więc mam go porzucić? Zostać dziwką? Tak jak ty? – zawołał za nią, ledwie panując nad złością.

Utarii nie przejęła się jego słowami.

– Nadeszły dziwne czasy, Caronie. Nie możemy się już obawiać potępienia.

# ROZDZIAŁ I ZAŚLUBINY

*Będą nas winić za to, kim jesteśmy. Będą pluć i potępiać. Będą  
kląć, aż staniemy się zapomniani. To nieważne. Ostatecznie  
dobrzy okażą się złymi, a źli dobrymi. I tylko bogowie będą mogli  
nas osądzić.*

**Pięć Tomów Sentencji,**

Poeta Verle

\*

Intrencjusz Vultris poprawił kołnierz odświętnej koszuli, po czym obdarzył strażników znaczącym spojrzeniem. Przystrojony w barwy cesarstwa mężczyźni natychmiast rzucili się na dwuskrzydłowe drzwi, wpuszczając gościa w progi komnaty.

Podskarbi odchrząknął i skwapliwie skorzystał z ich usłużności, wchodząc do środka. Urządzony na zachodnią modłę pokój nie przypadł mu do gustu. Mimo że dzieciństwo spędził w Anden, liryjska prostota wystroju podobała mu się o wiele bardziej. Tutaj było zbyt pstrokato.

Naherys jednak nie protestowała, gdy pan na Santre zaproponował te komnaty. Przecież sama nalegała, aby jej obecność na uroczystości do ostatniej chwili pozostawała tajemnicą.

– Intrencjuszu. – Ciemne spojrzenie spowilo jego postać. Dłoń władczyni nie przestawała gładzić białego kota o wyjątkowo długim futrze, który nawet nie raczył spojrzeć na wchodzącego gościa. – Czy wszystko zostało przygotowane?

Mężczyzna skłonił się, zerkając na zwierzę z niezadowoleniem. Nie przepadał za kotami, a w Santre jak na złość było ich porażająco dużo.

Cesarzowa jednak najwyraźniej nie podzielała jego antypatii.

– Tak, Wasza Cesarska Mość – odparł powściągliwie. – Strażnicy są na swoich stanowiskach. Więzienna karoca również. Wprowadziłem na salę dwóch Władców Cieni, ich obecność z pewnością zagwarantuje nam przewagę.

– Przewagę. – Naherys parsknęła z udawanym rozbawieniem. – Intrencjuszu, moja przewaga zarysowała się wyraźnie w momencie, w którym przekroczyłam bramy tego miasta. Nie potrzebuję ciebie, strażników, karocy, a nawet Władców Cieni. Dziewczyzna i tak jest moja.

Podskarbi zacisnął zęby, ale ponownie dygnął.

– Jeżeli będzie stawiać opór...

– Nie będzie – zaprzeczyła natychmiast Naherys. – Jest głupiutka, jej opór bierze się z przeświadczenia o własnej wartości. Gdy tylko wejdę na salę, to przeświadczenie wyparuje. Przypomnę jej, że w rzeczywistości należy do mnie.

– Nie rozumiem tylko...

– Nie musisz – zagrzmiała w odpowiedzi. – Czy znalazłeś dla mnie winowajcę tej całej... – skrzywiła się – afery?

Vultris przełknął ślinę. Wiedział, że to pytanie w końcu padnie, a on znowu pograży się w niełasce.

– DeArtes zniknął, Wasza Cesarska Mość. Tak samo jak widziane w Kotlinie Kota oddziały. Kazałem szpiegom w całym Lyr wypatrywać obcych, ale w cesarstwie jest zbyt wiele dróg.

– Jest na południu – stwierdziła Naherys pewnie. Chłód w jej głosie obniżył temperaturę w komnacie o kilka stopni. – Z tymi buntownikami. Podłymi zdrajcami.

– Południe nie wypowiedziało otwarcie żadnej wojny. Wydaje mi się, że oni...

– Dość – warknęła. – Mam dość twojego zbędnego gadania. Twoi szpiegdy są doprawdy bezwartościowi, jeżeli nie potrafią znaleźć na skrawku moich południowych włości jednego zdrazieckiego psa i jego złodziejskiej suki. – Westchnęła, uspokajając oddech. – Wyjź stąd, Intrencjuszu. Zawiodłeś mnie tak jak inni. Czasami wydaje mi



się, że niewydukowany chłop rozprawiłyby się z wrogami cesarstwa lepiej niż wy.

Podskarbi opanował drżenie rąk, po raz kolejny skłonił się przed władczynią i ruszył ku drzwiom.

– Przywołaj moje służki – zawołała za nim. – W końcu to ślub mojej wiernej poddanej. Muszę prezentować się wysmienicie.

\*

Varlana uśmiechnęła się z radością, podziwiając swoje odbicie w lustrze. Wiedziała, że dzisiejszy dzień należy do niej – sama czuła się jak księżniczka. Jak sama cesarzowa. Nigdy nie sądziła, by pozycja papy mogła pozwolić jej na tak dobre zamążpójście. Wprawdzie należeli do jednego ze znaczniejszych lyryjskich rodów, ale w rodzinie brakowało pieniędzy. Varlana już od dzieciństwa była przygotowywana do zaślubienia kogoś, kto nie wniesie dobrego nazwiska, lecz okazały majątek.

Właśnie dlatego zapragnęła wymknąć się przeznaczeniu – zrobić na przekór rodzinie i losowi, który zgotował jej tak nudną dolę. Bez wiedzy ojca zgłosiła się do bezpośredniej służby cesarskiej. Wiedziała, że sama musi zawalczyć o swoją pozycję.

Naherys sceptycznie zareagowała na zapal młodej dziewczyny. Wysłała ją na szkolenie oddziałów specjalnych, ale szybko okazało się, że jedyne dziecko rodu Penkhellow nie posiada cudownych talentów. Po miesiącach nudnych treningów w końcu znalazło się odpowiednie zadanie dla Varlany. Trafiała do oddziału pościgowego wysłanego za bezczelną złodziejką. To, że miała w gruncie rzeczy jedynie donosić o występkach generała, traktowała jako coś nieszkodliwego. Została szpiegiem – kimś przydatnym. Kimś, kto może się wykazać. Nigdy nie zastanawiała się, w jakiej grze właściwie wzięła udział.

A potem wszystko potoczyło się inaczej, niż sobie wyobrażała. Przeciągające się poszukiwania, niewygodna, impertynency towarzysze i porażka, po której Varlana wróciła z Blytale'em do Carde. Do tego okazało się, że generał północy chciał najzwyczajniej w świecie ją wykorzystać. Ją! Młodą damę z dobrego domu!

Nieoczekiwana wieść o ślubie była dla niej darem od losu – próbą zadośćuczynienia za te wszystkie rozczarowania. Dziewczyna przyjęła ten podarunek z wrodzoną pewnością siebie. Dziedzic pana na Santre nie tylko spełniał wymagania papy pod względem majątku, ale i należał do wyższej półki kawalerów Lyr. A to tego onieśmiał swoją urodą i zachodnim obyciem.

Prawdziwy księżę na białym koniu.

– Wszystko gotowe, pani. – Kuzynka pana młodego rozpromieniła się, obdarzając dziewczynę roziskrzonym spojrzeniem. – Wyglądasz doskonale. Jestem pewna, że mój kuzyn nie zasłużył sobie na taką piękność. – Varlana miała wrażenie, że w ostatnich słowach dziewczyny pojawiła się złośliwość, ale w takim dniu nie miała w sobie miejsca na gniew.

– Myślisz, że długo mu to zajmie? No wiesz, kapłanowi? – Młoda Penkhellow mimowolnie poprawiła fałdę sukni i po raz kolejny z przyjemnością przejrzała się w lustrze.

Symbolizująca nowe życie biel wspaniale podkreślała jej delikatną urodę – idealnie komponowała się z puklami jasnych włosów. Natomiast czarny tiul – symbol *Daarath*, śmierci czekającej na końcu każdej ścieżki – dodawał pannie młodej powabu i ostrości.

*Wymarzona suknia* – pomyślała Varlana, uśmiechając się po raz kolejny.

– Niestety, obawiam się, że ceremonia potrwa długo – odparła kuzynka spokojnie. – Kapłani *Daarath* słyną z przeciągania różnych uroczystości. Kochają słowa na równi z tym ich bogiem.

– Ich bogiem? – Brwi Varlany powędrowały ku górze. – Czy naszym?

– Wkrótce zrozumiesz, pani, że w Santre trochę inaczej podchodzi się do wiary. – Kuzynka dziedzica skrzywiła się niezauważalnie. – Nie jesteśmy tak rygorystyczni jak w pozostałych częściach Lyr.

Panna młoda tylko pokiwała głową. Ona też nie należała do najwierniejszych sług swojej wiary. Przyjęła ją, ponieważ tak nakazała cesarzowa. Nikt nie wiedział, dlaczego władczyni naciska na tę kwestię, ale nikt też wyborów Naherys kwestionować nie zamierzał. Varlana uczestniczyła w comiesięcznych ceremoniach w katedrze w Ma-

ren, jednak sprawa *Daarath* – ponurego boga – nigdy nie zajmowała na dłużej jej myśli.

– Szkoda, że zaślubiny nie odbędą się w starym obrzędku – stwierdziła, siłąc się na obojętność. – To byłoby ciekawe doświadczenie.

Kuzynka wzruszyła ramionami.

– Zaślubiny na dziko nie pasowałyby do naszej rodziny. Gdyby cesarzowa się o tym dowiedziała... – Mówiąc to, zadrżała z przestraczeniem. Jakby w obawie, że Naherys za chwilę wyłoni się zza firany. – Musimy już iść, pani. W złym guście jest zanadto spóźnić się na własne zaślubiny.

\*

Ołtarz przystrojono bukietami białych tulipanów. Stojące na piedestale uosobienie śmierci rozpościerało ręce z czarnego marmuru, witając w swoich progach wszystkich przybyłych gości. Ten przyjazny gest nie zmywał jednak innych widocznych oznak czyhającej w ramionach groźby. Śmierć zapraszała na koniec. Na początek wszystkich końców, paradoksalną pętlę, która wieńczyła życie ludzi.

W łóżach po obu stronach zasiadali szanowni oficjele. Wszyscy wystrojeni w najlepsze szaty, podekscytowani podniosłością chwili. Na ten jeden dzień katedra ponurego bóstwa zamieniła się w pole tulipanów, kolorowych sukien oraz barw Santre i Cesarstwa Lyr.

Krocząc środkową nawą, Varlana czuła się jak we śnie. W pięknej wizji swojego zwycięstwa. Tuż za nią podążali jej rodzice. Głowa rodu Penkhellow jeszcze nigdy nie wyglądała tak dumnie, natomiast matka... Varlana nie rozumiała dziwnego grymasu na jej ustach, ale nie zamierzała w to wnikać.

W końcu to była chwila triumfu.

Dziedzic pana na Santre czekał na nią tuż pod nogami olbrzymiego posągu *Daarath*. Varlana zrozumiała, że musiała urodzić się w dniu szczęśliwej gwiazdy, gdy tylko zobaczyła go po raz pierwszy. Młodzieniec był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego dotąd spotkała. Jasne włosy wspaniale kontrastowały z błękitem jego oczu, a smukła twarz i wyraziste rysy nadawały mu rycerskiego wyglądu. Podał dziewczynie dłoń – chłodną i zgrabną, a ona z wdzięcznością przy-

jęła zaproszenie. Nie mogła opanować szerokiego uśmiechu, który zakwitł na jej ustach.

Rodzice panny młodej zasiedli w swojej łoży, zaraz obok pana na Santre i jego małżonki. W katedrze zapanowała całkowita cisza.

– Zebrałiśmy się tu – zagrzemiał kapłan stojący na podwyższeniu – w obliczu *Daarath*, boga jedynej wartości, by w śmierci połączyć dusze dwojga miłujących się ludzi. Obłaskawiając naszego pana darami, a także obietnicą służby, zaskarbiamy sobie jego przychyłność w życiu po życiu.

Varlana z trudem przypomniawszy sobie, jak oddychać. *Jeszcze chwila* – powtarzała sobie w myślach. *Jeszcze moment i stanę się jedną z najbardziej szanowanych dam w Lyr.*

– Czy ty, Allenie DeSantre, synu lorda DeSantre i oddany sługa *Daarath*, godzisz się pojąć za żonę Varlanę Penkhellow, córkę lorda Penkhellow i oddaną sługę *Daarath*?

– Tak – odparł pośpiesznie młodzieniec. Jego błękitne oczy zabłyśły w dziwnej imitacji radości.

– Czy godzisz się służyć swojej małżonce nie tylko w tym życiu, ale i po śmierci, gdy *Daarath* na nowo połączy wasze dusze?

– Tak. – Kolejna prędką odpowiedź.

Kapłan odchrząknął i spojrzał na wszystkich z wyższością, po czym odwrócił się w stronę bladej Varlany.

– Czy ty, Varlano Penkhellow, córko lorda Penkhellow i oddana sługa *Daarath*, godzisz się pojąć za męża Allena DeSantre, syna lorda DeSantre i oddanego sługę *Daarath*?

– Tak – wyszeptwała dziewczyna, nabierając tchu.

– Czy godzisz się służyć swojemu małżonkowi nie tylko w tym życiu, ale i po śmierci, gdy *Daarath* na nowo połączy wasze dusze?

– Tak – odparła nieco głośniej.

Kapłan wyprostował się z dumą i raz jeszcze spojrzał na wszystkich zgromadzonych w katedrze.

– Nim przejdziemy do dalszej części ceremonii, muszę zadać wam, pokorni słudzy, jedno pytanie. – Pozwolił, by to zdanie zawisło w powietrzu i dotarło do każdego z gości. – Czy jest wśród nas ktoś, kto sprzeciwia się związkowi Allena DeSantre i Varlany Penkhellow?

Minuta ciszy, dwie, trzy. Panna młoda miała wrażenie, że jej serce za moment wyskoczy z klatki piersiowej.

– W takim razie, skoro nie ma nikogo...

– Właściwie... – Dobiegło nagle z ostatnich łóż. – Właściwie to mam pewne obiekcje.

Głowy wszystkich pomknęły w kierunku, z którego dochodził władczy głos. Katedra wypełniła się zdumionymi szeptami i szelestem kosztownego materiału.

Kapłan zmarszczył brwi z gniewem. Varlana spojrzała na dziedzica, który wydawał się na równi zszokowany.

– Kim jesteś, pani? I jakie wnosisz dowody?

Kobieta z tylnej łóż odsłoniła gustowny welon, ukazując swoje oblicze. Wszyscy natychmiast umilkli, jakby magia podstępnie zasznurowała im języki.

– Jestem twoją cesarzową, kapłanie – odparła ze złością. Zgrabnie opuściła swoje miejsce, ruszając ku ołtarzowi. Doskonale wiedziała, że wszystkie spojrzenia koncentrują się na jej postaci. – Naherys Pierwsza Tego Imienia, Cesarzowa Lyr, Pani ziem Annamaru, Goldportu, Nademii, Carde, Złotogrodu, Aldris, a także Santre – dodała ze złośliwym uśmiechem. – Obecna tutaj Varlana Penkhellow przysięgała mi dozgonną służbę. Jej słowo należy zatem do mnie. Do nikogo innego.

*Nie, nie, nie.* Myśli dziewczyny szalały, wzburzone nagłym strachem. *To nie dzieje się naprawdę!*

– Wasza Cesarska Mość. – Ojciec Varlany uklonił się niezgrabnie. Jego nogi drżały. – Nasza córka pozostanie wiernym sługą Cesarstwa Lyr. Te zaślubiny nie zmienią...

Naherys nie zamierzała go słuchać. Zagrała już swoją część przedstawienia – idealnie weszła w rolę, czekając do ostatniego momentu. Spojrzała na dwóch mężczyzn, którzy schowali się w cieniu potężnych filarów. Władcy Cieni tylko czekali na jej rozkaz.

– Weźcie ją. – Kiwnęła głową w stronę Varlany. – Zaślubiny właśnie dobiegły końca.

Przedarcie się przez strażników nie przedstawiało większych problemów. Małe miasteczko na północy szykowało się do czegoś. *Rai* nie miał pojęcia, dlaczego większa część służby biegła po niewielkim zameczku jak poparzona, ale szczerze powiedziawszy, niewiele go to obchodziło.

Gorączkowe przygotowania i porządki ułatwiły mu zadanie. Bez trudu znalazł przejście do prywatnych komnat kogoś, kto rządził tą dziurą na końcu świata. Wyminął służbę, wyminął strażników i nawet zamki w drzwiach nie czyniły mu problemów. Zupełnie jakby przyświecała mu gwiazda szczęścia.

*To jest za proste* – pomyślał, rozglądając się po zwykłej sypialni. Na łóżku leżała nowa, czysta pościel, z komód i mebli pościerano kurze, a wszystkie ozdoby oraz cenne rzeczy porozstawiano tak, by cieszyły oko.

– Oko złodzieja – mruknął pod nosem *Rai*, przechadzając się po pomieszczeniu. Zjrzał do kilku szuflad, przeszukał szafy i komody. Nie mógł się jednak zdecydować na nic konkretnego.

– Zabierz coś, co wpadnie ci w oko – powiedział mu chochlik wcześniej. – Oko złodzieja – dodał złośliwie. – Nie musisz mi nawet tego przynosić, nie zależy mi na nagrodzie, tylko na zakładzie.

– To skąd będziesz wiedział, że wypełniłem swoją część umowy? – zapytał wtedy.

– Po prostu będę – odparł chochlik chłodno, po czym rozpląnął się w mroku zimowej nocy.

*Rai* przeklinał pod nosem swoją głupotę, ale wiedział, że zakład z Dzieckiem Starej Magii jest ostatnią deską ratunku. Wszędzie szukał śladów swojego zaginionego dziecka, jednak wielomiesięczne śledztwo nie przyniosło żadnych rezultatów. Chochlik mógł mu udzielić informacji, na których trop *Rai* nigdy by nie wpadł.

– Cholera – warknął ze złością, po czym chwycił leżący na komódce sztylet. Wysadzana drobnymi, świecącymi kamyczkami rękojeść wyglądała na kosztowną. – Powinno się nadać.

Bez wyrzutów sumienia wsunął broń za pazuchę swojego długiego płaszcza i spokojnym krokiem opuścił komnatę. „Kluczem do sukcesu

jest spokój”, powtarzali mnisi na Wyspach Zamkniętych. *Rai* przez większość życia starał się stosować do tej filozofii.

– Złodziej! – krzyknął ktoś gwałtownie tuż za nim. Mężczyzna odwrócił się na pięcie, dostrzegając młodą służkę, która wpatrywała się w niego z przerażeniem. – Straż! Złodziej!

Bez chwili zwłoki ruszył przed siebie. Przebiegł przez dwa wąskie korytarze, spowalniając tempo czasu, uchylił się przed dwoma strażnikami, którzy zastąpili mu drogę, i już po chwili wypadł na główny dziedziniec. Dysząc ciężko, zerknął za siebie, szukając oznak pościgu.

I właśnie wtedy popełnił błąd.

Jego głowa z impetem uderzyła o coś twardego, świat stracił kontury wyrazistości, a świadomość *Rai* ogarnęła ciemność. Nawet nie poczuł, gdy jego ciało z łoskotem runęło na ziemię.

## ROZDZIAŁ II POTĘPIONA

*Nie będziesz kraść ni zabierać mienia do innych należącego. Kara za złapanie pozostaje w kwestii sędziego bractwa, ma jednak ganić ona zarówno za czyn, jak i za nieudolność kradnącego.*

*Fragment Kodeksu Bractwa Rai*

\*

– Zgodnie z czwartą zasadą naszego świętego, ustanowionego przed wiekami kodeksu, dopuściłaś się czynu karygodnego, plugawego i srogo karanego w kręgach ludzi przyzwoitych i cywilizowanych. – To mówiąc, sędzia rozejrzał się po sali i ledwie zauważalnie przewrócił oczami. Większość miejsc rozstawionych przed podwyższeniem – miejsc przeznaczonych dla wspomnianych przyzwoitych i cywilizowanych – świeciła pustkami. *Rai* nigdy tłumnie nie przybywali na procesy. Jakby prawo, które bezpośrednio ich dotyczyło, równocześnie zanudzało na śmierć.

Dzisiejsza rozprawa nie była wyjątkiem. W kątach brudnej, zakurzonej i stanowczo zbyt ciemnej sali przebywały cztery osoby. On – sędzia bractwa *Rai*, podstarzały sekretarz, który udawał, że spisuje padające słowa na kawałek pergaminu, oskarżona, a także skryta w cieniu postać, milcząca i tajemnicza.

– Czy rozumiesz wagę swojego przewinienia? – zapytał sędzia. Nawet on nie wydawał się przesadnie zainteresowany sprawą.

– Rozumiem – odparła oskarżona ponuro.

Mężczyzna westchnął i pokręcił głową. Sekretarz zakaszlał głośno, przez co sędzia zaczął się zastanawiać, czy staruszek dożyje do



końca rozprawy. Od miesięcy zanosiło się, że padnie na którymś z licznych pasjonujących posiedzeń, na których bractwo rozliczało członków za niewielkie przewinienia.

– No nic – podsumował sędzia wyjątkowo nieprofesjonalnie. – Stało się, jednak kara cię nie ominie. Powiem szczerze, że za kradzież cesarskiego mienia jeszcze nikogo nie skazywałem. Jest to czyn podwójnie podły, bo i zła sława o naszym bractwie poszła w świat. – Zamyślił się na chwilę, próbując nadać całości groźniejszego tonu. – Musiałaś dać się przyłapać? Moglibyśmy to puścić płazem, udawać, że właściwie nic się nie stało, co złego to nie my. A tak...? Ciężko zgrywać głupca, gdy po całym Lyr krążą listy gończe z twoją podobizną i dużym brzydkiem podpisem „złodziejka”.

Oskarżona skrzywiła się z niesmakiem, wzruszając przy tym ramionami. Od początku procesu nie odzywała się za wiele.

– Zgodnie z nadaną mi przez kodeks mocą zostajesz potępiona. Otrzymujesz dożywotni zakaz przebywania na ziemiach Cesarstwa Lyr, a także miesiąc przymusowej pracy, z której cały dochód przeznaczysz na składkę dla bractwa. Powiedzmy na to, że... – Sędzia zamyślił się, marszcząc brwi. – Powiedzmy, że przez miesiąc będziesz pełnić rolę konsultanta na dworze Jego Wspaniałości króla Anden. Szanowny władca tego królestwa uwielbia słuchać przerażających historii o Plagach, a tak się składa, że obecnie nie ma kto mu ich opowiadać.

*Rai* jęknęła głucho, jednak nie protestowała. W przeszłości bractwo o wiele surowiej karało za takie przewinienia.

– Skoro nie ma sprzeciwów, w takim razie możemy zakończyć...

– Chwila. – Dobiegający z rogu pomieszczenia głos wydawał się władczy, nawykły do wydawania rozkazów. Nawet sędzia drgnął, rozpoznając ten ton. – Wnoszę o dodanie pewnej poprawki do ustanowionej kary.

*Precedens* – przemknęło sędziemu przez głowę, jednak nie zamierzał protestować. Procesy w bractwie od dawna łamały wszelkie zasady, zmieniając się w niegodną farsę.

– Jaką to poprawkę proponujesz, bracie?

Siedząca przed podwyższeniem oskarżona poruszyła się niepewnie, jednak nawet nie zerknęła za siebie. Najwyraźniej ona również знаła tożsamość skrytego w cieniu mężczyzny.

– Dożywotni zakaz zbliżania się do wyklętego cesarskiego generała, Nathaniela DeArtesa – rzucił spokojnie głos z tyłu.

*Rai* drgnęła, zaciskając wargi z niezadowolenia, nie wyglądała jednak na skorą do targów.

– Dobrze. – Sędzia miał ochotę wzruszyć ramionami. – Poprawka do kary zostaje zaakceptowana. Zakończmy to zatem. – To mówiąc, powstał ze swojego zaszczytnego miejsca, machnął na sekretarza, po czym obaj udali się w stronę skrzypiących drzwi.

W sali zapanowała cisza, którą przerywały jedynie dobiegające z ulicy odgłosy życia codziennego.

Raven przełknęła ślinę, walcząc z irytacją. Ten dzień zaczął się wyjątkowo paskudnie, a zanosilo się na to, że początek atrakcji miał dopiero nastąpić.

– Poprawka do kary – zaczęła złośliwym tonem. Nie raczyła nawet odwrócić głowy. – Od kiedy to dyktujesz sądom swoje warunki?

– Od kiedy sądy zamieniły się w tanie teatry z pustą widownią – odparł głos bez chwili zastanowienia. Raven usłyszała szelest i następujące po nim kroki. Nieśpieszne, spokojne, jednostajne. Doskonale znajome. Postać stanęła nad nią, lustrując *Rai* uważnym, skupionym wzrokiem.

– Nie rozumiem, skąd ten brak zaufania. – Wstała powoli, cały czas tocząc zaciętą walkę na spojrzenia. – Ja do Lyr się pchać nie zamierzam, przecież właśnie z tego burdelu uciekłam.

Mężczyzna parsknął bez śladu rozbawienia. Odwrócił się w stronę drzwi, dając znak, by Raven podążyła za nim.

– Znam cię lepiej, niż myślisz. Wiem, co się dzieje w twojej naiwnej głowie, i wiem, że zaczynasz tej ucieczki żałować. Bo uciekłeś z Lyr od generała, ale odnalazło cię coś, czego boisz się o wiele bardziej. Nudę.

– Możesz dać sobie spokój z DeArtesem? – rzuciła, siląc się na spokój. Już nawet nie pytała, skąd ojciec wie o całej aferze. Zawsze wy-

dawał się najlepiej poinformowanym człowiekiem na Kontynencie. – Przyczepiłeś się do niego jak rzep psiego ogona, tymczasem ja jedynie dla niego pracowałam. To była intratna robota, ot co.

– Możesz mieć moje oczy i uszy udawanym materializmem, ale ja znam pobudki, które tobą kierowały. – Jego źrenice zwęziły się niebezpiecznie. – Dlatego nie dziw się nad poprawką do kary. To miała być lekcja. Nauczka i przestroga, byś więcej się w takie bagno nie pchała.

Zatrzymali się dopiero po opuszczeniu zaniedbanego budynku. Na ruchliwej uliczce, w miejscu, w którym nikt nie zwracał na nich uwagi.

– Będziesz na zgromadzeniu? Bo chyba nie pojawiłeś się tutaj, by czuwać nad przebiegiem mojego procesu? – Raven uniosła brwi, bacznie lustrując twarz ojca w promieniach popołudniowego słońca. Nie zmienił się prawie w ogóle. Na jego skroni pojawiła się lekka siwizna, zmarszczek odrobinę przybyło, ale to wciąż był on – postawny, przystojny i dumny *Rai*, u którego osobliwy honor szedł w parze z własnymi żelaznymi zasadami. Nie wydawał się zaniepokojony, zły, zrozpaczony czy smutny. Raven miała pewność, że pojawił się na rozprawie tylko po to, by zrobić jej na złość.

– Pojawiłem się tutaj z kilku powodów, jednak ty nie musisz znać żadnego z nich – odparł wymijająco. – Mam nadzieję, że weźmiesz sobie to potępienie do serca.

To powiedziawszy, starszy *Rai* odwrócił się i bez słowa ruszył przed siebie, zręcznie manewrując na ruchliwej drodze. Raven przez chwilę śledziła oddalającą się sylwetkę ojca, głośno zgrzytając zębami, po czym westchnęła, próbując się rozluźnić.

Przynajmniej to miała już dzisiaj za sobą. Wcześniej nie była pewna, czy w ogóle go tutaj zobaczy, jednak wyglądało na to, że bractwo *Rai* nie zamierza przejść biernie obok problemu coraz częstszych Plag. Do Tumbstole przybyli bracia z najdalszych części Kontynentu. Raven od samego rana natykała się na nich na ulicach niewielkiego miasteczka w Anden. Kolorowa zbieranina z całych sił starała się wtopić w tłum, udawać, że są tylko przypadkowymi odwiedzającymi, jednak całe Tumbstole wrzało od ich przyjazdu.

Raven w końcu ocknęła się z odrętwienia, po czym ruszyła przed siebie. Zima powoli kroczyła ku wiosnie, ale wciąż dawała w kość, prosząc drobnym, natychmiast topniejącym śniegiem. Zwłaszcza tutaj, na północy królestwa, temperatura nadal oscylowała wokół zera stopni, na zmianę kusząc obietnicą zbliżającego się ciepła oraz groźbą mroźnego powrotu.

A przecież Bal Zimowy wydawał się tak nieodległym wspomnieniem, bliskim i wciąż świeżym. Zdawałoby się, że ledwie wczoraj Raven kroczyła korytarzami cesarskiego pałacu w poszukiwaniu Serca Starej Magii, by skraść Vendari – skrawek duszy Władcy Cieni.

Tymczasem minęło już sporo czasu, od kiedy wraz z Magritte wyruszyła z Kotliny Kota. Przez dwa tygodnie po prostu rozkoszowała się powietrzem Anden – wolnym od plugawych spisów, zamachów i buntów. Za zarobione na kradzieży pieniądze miesiącami mogłaby żyć jak królowa, ale przytłaczająca nuda okazała się o wiele silniejszym przeciwnikiem. *Rai* wyruszyła głębiej na zachód, jednak Anden nie oferowało zbyt wiele zabawy. Ot, trafiła na jedną Plagę, szlachcica w opalach i mało rozrywkową bandę leśnych obdartusów, dla których nie warto było nawet zwalniać czasu. Potem nadszedł termin zgromadzenia ustalony w liście od bractwa, więc Raven ruszyła do Tumbstole, bardziej zaciekawiona niż przestraszona wizją tak wielkiej zbieraniny jej ulubionych braci. Nawet wspomniany w wiadomości proces nie powstrzymał ciekawości.

Ojciec. Nie spodziewała się, że go tu spotka. Szczerze mówiąc, nie podejrzewała, że bractwo odważy się na taki krok – zwołanie wszystkich członków było nie lada wyczynem i wymagało sporego nacisku ze strony głowy zgromadzenia. Raven niemal na każdym kroku natykała się na innych *Rai*. Swobodnie spacerujący po ulicy, zajęci oglądaniem straganów, rozmawiający w niedużych grupkach. Na pierwszy rzut oka nie różnili się rażąco od reszty gawiedzi, jednak Raven wiedziała, na co zwracać uwagę – lekki, niekrepujący ruchów strój, rękojeści wystające zza zimowych płaszczów, ostrza podobne do tego, które sama nosiła.

*Przybyli tu, ponieważ się boją* – uświadomiła sobie, zerkając w stronę potężnego mężczyzny, który obdarzył ją tym samym pilnym spoj-

rzeniem. Najwyraźniej problem Plag był o wiele poważniejszy, niż podejrzewała.

Raven wyminęła zawalony towarami stragan, po czym skręciła w boczną, rzadziej uczęszczaną uliczkę.

Tumbstole od wieków służyło za drugą, mniej oficjalną kwaterę *Rai*. O ile to Blackport – stolica Anden – mieścił dumny budynek przedstawicieli zgromadzenia, o tyle tutaj po prostu załatwiano się sprawy ważne dla całego bractwa. Raven odwiedziła to miasteczko tylko raz, krótko po zakończeniu treningu na Wyspach Zamkniętych, gdy ogłoszono ją pełnoprawnym członkiem *Rai*. Dlatego ta wizyta wydawała jej się tak nienaturalna.

Miejska karczma, w której *Rai* wykupiła nocleg, okazała się tak samo przepełniona jak z rana, gdy opuszczała ją, by udać się na proces. Mieszkańcy Tumbstole wyglądali na szczęśliwych z powodu pojawienia się takiej grupy *Rai*. Nawet jeżeli za plecami szeptano o sekcie pomyślników, to i tak ludność otwarcie cieszyła się z głupców, którzy wydawali pieniądze w ich karczmach, sklepach i domach uciech.

Raven zgrabnie obeszła zataczającego się mężczyznę z kuflem piwa, po czym z westchnieniem dezaprobaty rozejrzała się dookoła. Wszystkie ławy i stoliki wydawały się zajęte. Pijani goście wypełnili karczmę wesołym gwarem, śmiechem, pieśniami, a także odorem alkoholu i potu. W porównaniu do mroźnej uliczki to miejsce przypominało tropikalną dżunglę.

Dopiero po chwili *Rai* zauważyła znajomą postać, która przypatrywała się jej od dłuższej chwili. Raven natychmiast poznała ten krzywy uśmiech i namacalną niechęć. Nie miała jednak ochoty spędzać kolejnego nudnego wieczoru w samotności czterech ścian wynajętego pokoju. Konfrontacja z kimś, kto nie pałał do niej zbyt ciepłym uczuciem, wydawała się wyjątkowo pociągająca.

– Magritte, moja ulubiona koleżanko. – Mówiąc to, przysiadła naprzeciwko ciemnowłosej *Rai* i machnęła w stronę przechodzącej obok zapracowanej dziewczyny, która pomagała gospodarzom w usługiwaniu gościom.

– To miejsce było zajęte – odparła sucho kobieta, przewracając oczami.

– Czyżby randka? – Brwi Raven powędrowały ku górze. – W takim miejscu? Chyba stać cię na coś lepszego.

– Ten dzień był doprawdy dobry, a potem pojawiłaś się ty. – Magritte obrzuciła ją zdegustowanym wzrokiem. – Jak tam rozprawa? Mam nadzieję, że sędzia okazał się rozsądnym człowiekiem i przydzielił ci kilka lat ciężkich robót.

– Rozprawa? – Raven lekceważąco machnęła dłonią. – Gdy tylko sędzia zobaczył moją niewinną twarz, natychmiast przeprosił za to całe zamieszanie i puścił mnie wolno. Widocznie na własne oczy przekonał się, że mój honor pozostaje nieskazitelny.

Magritte parsknęła, kręcąc głową. Jej smukłe dłonie oploty sporych rozmiarów kufel z mętym trunkiem.

– Ty nie masz honoru – stwierdziła chłodno. – Założę się, że stałaś oficjalnie potępiona za swój dziecinny wybryk.

Raven skrzywiła się nieznacznie, ale jej oblicze natychmiast rozpromieniło się na widok piwa, które wylądowało na ławie.

– Uważaj, zakłady to niebezpieczna sprawa. – Już pierwszy łyk przekonał ją, że tutejsze wyroby nie należą do najlepszych. – Potępienie nie jest czymś, czym należy się przejmować. To zwykła farsa. Tak jak wszystkie zasady naszego wspianego bractwa.

– Potępienie jest oficjalnym, ostatecznym ostrzeżeniem – zaprzeczyła Magritte słodkim głosem. – Więc uważaj, koleżanko. Następnym razem zostaniesz po prostu... wyklęta.

Raven wzruszyła ramionami, udając, że taki obrót spraw wcale by jej nie obszedł, po czym z fałszywym zainteresowaniem rozejrzała się dookoła. Członkowie bractwa wydawali się wyjątkowo spokojni, na ulicach nie było burd ani kłótni, które zwykły wybuchać w zbyt licznym towarzystwie *Rai*.

*Podejrzane.*

– Gdzie twój brat? Ojca widziałam, ale Killian musiał się gdzieś zgubić. A może on też po prostu ma cię dość? – Na ustach Magritte zatańczył obłudny uśmiech.

Raven poczuła w sercu uderzenie niepokoju, ale nie zamierzała się obnosić ze swoim strachem. Od samego rana zastanawiała się, jakim cudem Killian jeszcze nie dotarł do Tumbstole. Przecież termin

narady wyznaczono dość dawno, a jej brat raczej nie ominąłby takiego widowiska.

– Dowiedział się, że też tu będziesz, więc uciekł na drugi koniec Kontynentu – odparła bez namysłu. – Wciąż się w nim podkochujesz?

Magritte roześmiała się głośno, chociaż w jej oczach nie zaiskrzyła nawet nutka rozbawienia.

– Twoja rodzina jest mocno popieprzona. Nie znam szaleńca, który dobrowolnie dałby się wciągnąć w coś takiego. – Magritte podniosła się ze swojego miejsca i ruszyła ku schodom prowadzącym na piętro z pokojami. – Do zobaczenia, złodziejko.

\*

Ścianę zdobił okazały fresk. Wyblakłe i wytarte w wielu miejscach malowidło wciąż przyciągało wzrok, skupiało na sobie niepodzielną uwagę. Jakby artysta zamknął w dwuwymiarowych, dawno zapomnianych postaciach coś na kształt nieprzemijającej mocy – magii, która emanowała tajemniczością.

Fresk był elfiej roboty, Raven nie miała co do tego wątpliwości. Przedstawione ważne niegdyś wydarzenia ubrano w nieludzkie bohaterów – nierzadko kolorowych, cudaczkich, o wręcz posągowych sylwetkach. Elfy walczyły, tańczyły, rozmawiały, przybierały najróżniejsze pozy. Fresk bawił się scenami, nie układając ich w szczególnej chronologii. Rozglądając się po półkolistym pomieszczeniu, *Rai* zdołała dostrzec tylko jeden powtarzający się schemat.

Wieże. Cztery samotne budowle, które rozmieszczono w nieregularnych odstępach, zwykle w zupełnie innych sceneriach. Jedną okolonę językami ognia, drugą mroźnymi soplami lodu, trzecią wietrznym tornadem, z kolei po czwartej wspinały się zielone pnącza gęstej roślinności. Mimo tej różnorodności, wszystkie wieże wyglądały identycznie i niemal... znajomo.

– Cieszy mnie widok tak wielu siostr i braci. – Dopiero chrapliwy głos Lorenzo Vorzy przywrócił Raven do rzeczywistości. Niechętnie odwróciła wzrok od barwnej mozaiki, skupiając go na chudym, dość wątym mężczyźnie.

Zmienił się. Zmizerniał. Minęło prawie dziesięć lat, odkąd Raven widziała go po raz ostatni, dlatego nietrudno było zauważyć, że ta dekada pozbawiła go całej nonszalancji, z którą niegdyś tak dumnie się obnosił. Najwyraźniej rola przywódcy bractwa zupełnie mu nie służyła. *Rai* od wieków balansowali na cienkiej linii, granicy między potępieniem i uwielbieniem. Królestwa zmieniały się, a także kształtowały się na nowo, jednak nieufność wobec ludzi, którzy otwarcie manipulowali czasem, pozostała.

Lorenzo Vorza musiał toczyć walkę nie tylko z podejrzliwością władców, lecz i z własnymi braćmi. *Rai* niechętnie stosowali się nawet do swoich zasad, co tu dopiero mówić o prawach nakładanych przez władców poszczególnych królestw i cesarstw. Do tego, jak Raven zauważyła, wiek w końcu zaczął mu ciążyć, przypominając o niespokojnych latach. *Rai* nie wiedziała, ile wiosen ma na karku człowiek, który zawsze wyglądał na starego, ale obstawiała liczbę zbliżającą się do osiemdziesiątki.

Kiedyś darzyła go nienawiścią. Strach i żal zrobiły z niego w jej oczach kogoś, kogo należało się wystrzegać, jednak teraz wszystkie emocje opadły. Uleciały na wietrze minionych lat, pozostawiając chłodną obojętność. Ręka, która niegdyś wydawała jej się żelazna, teraz wyglądała mizernie – dłoń staruszka zbliżającego się do kresu swojego życia, przerażonego wizją wymykającej się władzy.

– Jest kilka pilnych spraw, które należy omówić w szerszym gronie i które skłoniły mnie do zwołania rady – podjął Vorza, przyglądając się każdemu *Rai* z osobna.

Jego jasne spojrzenie potrzebowało dłuższej chwili, by objąć wszystkich braci rozproszonych po przestrzennej półkolistej komnacie. Niektórzy starsi i bardziej poważani członkowie zajmowali miejsca przy ogromnym stole. Reszta, tak jak Raven, musiała na stojąco tłoczyć się u stóp podniesienia, z którego przemawiał Lorenzo.

– Zacniemy jednak od tych najmniej pilnych, by dalsze tematy zupełnie ich nie pochłonęły. – Odchrząknął, odpędzając chrypkę. – Przywódcy Pustynnych Klanów Kahhari wystosowali oficjalny edykt zabraniający członkom naszego bractwa przebywania na ich ziemiach.



Motywacji takiego zakazu nie wyjaśnili. – Ponownie rozejrzał się po komnacie. – Ale, jak podejrzewam, doszło tam do kilku nieprzyjemnych... incydentów z udziałem *Rai*, stąd taka decyzja. Przywódcy zażądali, by wszyscy *Rai* w ciągu dwóch miesięcy opuścili ziemię Kahhari. Jeżeli ktoś da się przyłapać, zostanie poddany egzekucji. – Lorenzo Vorza skrzywił się z niesmakiem. W sali rozległ się szmer przyciszonego rozmów, jednak dyżurny *Rai* prędko ukrócił pełne oburzenia szepty. – Kahharyjczycy prawem krwi należący do jakiegoś klanu, pełniący jednocześnie służbę bractwu, zostają pozbawieni przywilejów Pustynnych Klanów, potępieni i wyklęci z własnych ziem. Nakaz opuszczenia pustyni obowiązuje także ich.

Kolejne wzburzone głosy, tym razem głośniejsze. Raven poczuła na sobie obce spojrzenie. Spokojny wzrok ojca wydawał się obojętny na troski innych braci, jednak w oczach starszego *Rai* czaiły się iskry mówiące o wiedzy, którą nie zamierzał się dzielić.

*Czyżby miał coś wspólnego ze wspomnianymi incydentami?* – pomyślała Raven, jednocześnie bezgłośnie zgrzytając zębami. *W co on znowu pogrywa?*

– Podjąłem pewne kroki, które miały załagodzić ten konflikt, jednak przywódcy Pustynnych Klanów Kahhari wydają się nieubłagani. Nie chcą nas na swojej ziemi, a my musimy to uszanować. Nie mamy innego wyjścia! – Tym razem musiał wrzasnąć, by przebić się przez krzyki wzburzonych *Rai*. Nawet dyżurny ze swoim dzwonkiem nie mógł za wiele zdziałać. – Ponadto – zachrypnięty głos Vorzy jakimś cudem zdołał zagłuszyć pozostałych – dostałem niepokojącą wiadomość od Jaśnie Panującej Cesarzowej Naherys. O ile wcześniej obecność naszych braci na terenie cesarstwa była... niemile widziana, to od teraz będzie surowo karana. Na podobnych zasadach co w Kahhari.

Tym razem Raven zadrżała z zimna, które powoli ogarnęło całe ciało. Taki zakaz mógł pojawić się tylko z jednej przyczyny. Przyczyny, która wdarła się do komnat cesarzowej w trakcie zimowego balu i przywłaszczyła sobie Vendari jednego z Władców Cieni.

– Nie skończyłem...! – Lorenzo Vorza zaczął kaszleć, dusząc się od własnej słabości. Machnął w stronę dyżurnego, który dopiero po dłu-

giej chwili zdołał uciszyć wzburzony tłum *Rai*. – Nie mogę wam za-  
bronić wstępu... ani w głąb terytorium Kahhari, ani do Lyr. Nie mnie  
jednak podważać edykty władców... bractwo dawno utraciło swoje  
wpływy, dlatego musicie liczyć się z konsekwencjami, jeżeli postano-  
wicie te zakazy złamać.

*Szaleństwo* – pomyślała Raven, walcząc z falą frustrującej bezrad-  
ności. Jakim cudem *Rai* mieli walczyć z Plagami, jeżeli na granicach  
państw stawiano coraz więcej murów?

– To dwie z ważniejszych wiadomości, które dla wspólnego dobra  
zdecydowałem się wam przekazać. Proszę słać te informacje dalej, do  
członków, których tu dzisiaj zabrakło. A teraz... – Odchrząknął, nie  
zwracając uwagi na głośne nieprzychylnie komentarze niektórych *Rai*.  
– Teraz pora poruszyć kwestię najpilniejszą. – Vorza zaczął wertować  
stos papierów, który poniewierał się przed nim. – Otrzymałem wiele  
niepokojących listów... doprawdy niepokojących. Z początku wyda-  
wało mi się, że to zwyczajne plotki, jakich wiele pojawiało się na prze-  
strzeni lat, ale niedawno otrzymałem wiadomość od jednej z najsku-  
teczniejszych członkiń naszego bractwa, Raven z Nitty, córki mojego  
wiernego przyjaciela Vincenta. – Mówiąc to, wymienił ze starszym  
*Rai* znaczące spojrzenia.

Raven drgnęła, słuchając tego z rosnącym zdumieniem. Wbrew  
temu, co przed chwilą zostało powiedziane, poczuła się, jakby wła-  
śnie ją skarcono. Lorenzo Vorza nigdy jej nie chwalił. Jego usta upusz-  
czały wyłącznie obelgi. Poza tym, na *Daarath*, właśnie została oficjal-  
nie potępiona! *Rai* po raz kolejny doświadczyła dziwnego przeczucia,  
że za tym wszystkim stoi ojciec.

– Ten list oraz doniesienia moich bliskich współpracowników skło-  
niły mnie do zwołania rady. Randal, opiekun naszych zbiorów w Blac-  
kporcie, szerzej opowie o problemie, z którym się mierzymy.

W półkolistej komnacie zapanowała niecodzienna cisza. *Rai* skupili  
się na otyłym mężczyźnie powoli wdrapującym się na podwyższenie.  
Raven nigdy go nie widziała. Trudno się z resztą dziwić, *Rai* nie należała  
do największych miłośników ksiąg i manuskryptów. Biblioteka w Blac-  
kporcie była miejscem, które nigdy szczególnie jej nie fascynowało.

– Jak piszą uczeni z poprzedniej epoki – zaczął jednostajnym tonem – nikt nie potrafi stwierdzić, skąd właściwie wzięły się Plagi. Wiadomo jedynie, że to jednostronne drzwi do innego wymiaru. Tego szkaradnego i plugawego. Mrocznego odzwierciedlenia naszych żywotów tutaj. Są rzadkim zjawiskiem, pojawiającym się raz na jakiś czas... zwykle na odludziu, w miejscach, do których człowiek rzadko zagląda. Zjawy najwyraźniej wystrzegają się dużych skupisk istot myślących. Jednak ich krwiożercza natura doprowadzała do śmierci wielu ludzi, stąd też wzięta się potrzeba powstania naszego bractwa. Dzięki treningowi i niezwykłym umiejętnościom potrafimy kontrolować czas i eliminować szczeliny.

Raven przewróciła oczami, opierając się o pobliską ścianę. Nie miała ochoty na wykład. Tym bardziej że głos bibliotekarza przypominał jednostajny szum wody, usypiał samym swoim brzmieniem.

– Obecne zjawisko opisuje bardzo niewiele traktatów o Plagach, lecz dzięki długim poszukiwaniom odnalazłem kilka dzieł, które mówią o okresach wzmożonej aktywności szczelin...

– Do rzeczy – mruknął sąsiad Raven, wprawiając ją tym samym w nieco lepszy humor. Najwyraźniej nie tylko ona wolałaby przejść do sedna sprawy. Należało znaleźć rozwiązanie, a nie drążyć nudną historię Kontynentu.

– Na podstawie tych zapisków śmiem podejrzewać, że do życia została powołana magia, której nikt nie powinien znać. Ani tym bardziej wejść w jej posiadanie. – Przerwał, robiąc dramatyczną pauzę.

Raven uniosła brwi, mimowolnie zerkając na pozostałych. Nie wydawali się poruszeni tym niecodziennym przedstawieniem.

– Uważam, że ktoś pojął starożytną sztukę władania runami i przywołał Władcę Plag, potworną kreaturę zdolną do rozrywania powłoki naszego świata – dokończył Randal, podświadomie ścisząc głos.

Na sali ponownie wybuchł gwar gorączkowych rozmów. Pierwsza połowa nie wierzyła w brednie starego bibliotekarza, druga domagała się wyjaśnień. Raven obserwowała sytuację w milczeniu, powoli łącząc fakty. Władcy Cieni, Władcy Plag... Jeżeli to Naherys stała za tym całym bałaganem, bractwo raczej niewiele mogłoby w tej sprawie zrobić.

– Spokój, spokój! – krzyczał dyżurny, machając swoim podręcznym dzwonkiem.

*Wkrótce Lyr może zrobić się zbyt małe dla jej wynalazków* – pomyślała Raven z niepokojem.

– Nie mamy pewności – wtrącił Lorenzo spokojnym głosem. – Jednak podejmiemy stosowne kroki. Wyślemy wiadomości do głów wszystkich królestw, zapewnimy pomoc każdemu lokalnemu włodarzowi, który zetknie się z Plagą. Wyznaczyliśmy także kogoś, kto wyruszy na Wyspy Zamknięte i naradzi się z mnichami. – Wskazał na Magritte, która nagle pojawiła się na stopniach podwyższenia. – Przede wszystkim należy zachować ostrożność. Ostrożność, moi bracia, to klucz do przezwyciężenia tego trudnego okresu!

\*

*Brednie.* Raven przemierzała kolejne uliczki Tumbstole, klnąc pod nosem ze zdenerwowania. Z góry mogła założyć, że bractwo nie zdziała nic w sprawie niepokojąco częstych Plag. *Kukły.* Byli tylko echem tego, co kiedyś znaczyli *Rai*. Banda przebierańców, najemników i zbirów, która nędznymi resztkami honoru trzymała się kulawego kodeksu.

– Nie wyglądasz na zadowoloną. – Ojciec zmaterializował się tuż obok niej. Bez trudu nadążył za jej dynamicznym krokiem. – Możesz mi powiedzieć, czego oczekiwałaś?

Raven parsknęła z irytacją i stanęła na środku drogi, twarzą w twarz ze starszym *Rai*.

– Nie wiem, czegokolwiek. Na pewno nie tej farsy.

– Przecież wysłali Magritte na Wyspy Zamknięte – odparł spokojnie.

– Och, rzeczywiście. To ratuje sytuację. – Skrzywiła się z niesmakiem, nawet nie udając, że nie jest wkurzona. – Dobrze wiemy, kto się ostatnimi czasy zabawia runami. Vorza po prostu sika w majtki na sam dźwięk imienia Naherys.

– Bo nie jest głupcem – zagrzmiał. – W przeciwieństwie do ciebie. Mam nadzieję, że z samego rana wyruszysz do Blackportu. Potępienie wymaga pokory, a ty masz swoje do odsłużenia.

Raven zmrużyła oczy, przyglądając mu się spod zmarszczonych brwi. Ciemniejsza karnacja, czarne włosy przetykane nitkami siwizny. Pod względem fizycznym Raven nie przypominała go nawet w najmniejszym stopniu. Miała nadzieję, że charakterem również od niego odstaje, jednak bywały momenty, w których przyłapywała się na wypowiedaniu słów, które zwykle opuszczały usta ojca.

– Sąd nie określił dokładnej daty mojej przymusowej pracy – odpowiedziała, uśmiechając się krzywo. – Mam do załatwienia kilka rzeczy w lamnejskim banku, potem zahaczę o Blackport.

– Mam nadzieję – podsumował chłodnym tonem, po czym odwrócił się w drugą stronę i zniknął w mroku nocy przyprószonej płatkami śniegu.

Raven miała ochotę warknąć z wściekłością. Zamiast tego zamknęła oczy, policzyła do dziesięciu i obiecała sobie nagrodę w postaci kilku kufli tutejszego mętnego piwa.

Ruszyła w stronę karczmy. Wąska uliczka wyludniła się, uchłła w nienaturalny sposób. *Rai*, mocno zirytowana wydarzeniami dzisiejszego wieczoru, z początku nie zwróciła na to uwagi. Zatrzymał ją dopiero śmiech.

Cichy, złośliwy, piskliwy.

– Cóż za przypadek, *Rai*. Powiedziałbym, że się stęskniłem, ale cóż... – rozłożył swoje małe żółte łapki – wcale się nie stęskniłem.

Raven stanęła jak wryta, lustrując chochlika niedowierzającym spojrzeniem.

– Co ty tu, do cholery, robisz?

Dziecko Starej Magii wzruszyło ramionami.

– No wiem, trochę nie moja sceneria. Brak rozdroży, brak chaszczy i nawet księżyc jakoś tak świeci, jakby chciał, a nie mógł – stwierdził z udawanym smutkiem. – Ale no, lubię cię. Albo twoją tępotę, jeżeli już mamy się rozdrabniać.

*Rai* zacisnęła usta.

– Wynoś się. Nie mam ochoty na twoje sztuczki.

Chochlik wyszczerzył się z irytującym zadowoleniem.

– Oj, skąd ta agresja? Czyżby spotkanie poszło nie po twojej myśli? Nie przejmuj się. To *Rai*, są tępi z natury. Ja zdążyłem się do tego przyzwyczaić. – Machnął żółtą łapą. – Ty też powinnaś.

– Zejdź mi z oczu – warknęła Raven, ruszając przed siebie.

– Jak mnie nie wysłuchasz, twój brat zginie – rzucił chochlik śpiwnym tonem. – I to już całkiem niedługo.

Raven zamarła, czując ukłucie niepokoju w sercu.

– O czym ty bredzisz?

Chochlik westchnął, litościwie kręcąc głową.

– Jak już wspominałem, lubię cię. Dlatego sprzedam ci pewną informację za darmo. Oferta specjalna, jak to się mówi w mojej branży.

– Jaką informację!?

– Jest takie miasteczko, kilka dni marszu na wschód. Wystarczy, że pójdziesz główną północną drogą z Anden do Lyr i w odpowiednim miejscu skręcisz razem z niepozorną ścieżką.

Raven zdenerwowała się nie na żarty.

– I co do tego całego miasteczka ma Killian?

– Och, nic. Po prostu gnije teraz w tamtejszych lochach. A za kilka dni zawiśnie. – Chochlik zrobił marną imitację duszonego człowieka, po czym roześmiał się z rozbawieniem. – Ot, taka ciekawostka.

– Dlaczego? Co on tam robił?

Stworek zrobił minę niewiniątka.

– A skąd mnie to wiedzieć? Ja ci po prostu mówię. Ty zrobisz z tym, co zechcesz. – Po tych słowach Dziecko Starej Magii uśmiechnęło się przebrzydłe, po czym zniknęło w czarnej zasłonie nocy.

Era cieni: Potępieni  
Copyright © Agnieszka Zawadka  
Copyright © Wydawnictwo Inanna  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Agnieszka Zawadka

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2023 r.

książka ISBN 978-83-7995-637-1

ebook ISBN 978-83-7995-638-8

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski  
Redakcja: Bożena Walewska  
Korekta: Aleksandra Sitkiewicz  
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski  
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka  
Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak  
ul. Kormoranów 126/31  
85-432 Bydgoszcz  
[sekretariat@inanna.pl](mailto:sekretariat@inanna.pl)  
[www.inanna.pl](http://www.inanna.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach  
[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)  
[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)

Czas to niebezpieczna rzecz,  
zwłaszcza w niepowołanych rękach.

A ręce Raven wydają  
się wyjątkowo problematyczne.

Wśród politycznych gier,  
paskudnych Plag i zawziętej  
cesarzowej niejeden straciłby  
głowę. Na całe szczęście Raven  
dzierży najpotężniejszą z broni –  
zestanego przez gwiazdy pecha  
oraz własną lekkomyślność.

**#POLSKAFANTASTYKA #FANTASY**





W świecie, gdzie puszcza włada leszy,  
w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród  
chat przemykają zmyry i strzygonie,  
młodziutka Venda musi stanąć na straży  
bezpieczeństwa mieszkańców  
Wilczej Doliny.

Fantastyczna seria pełna  
słowiańskiego uroku!

**#POLSKAFANTASTYKA**  
**#LITERATURASŁOWIAŃSKA**





PRZEZNACZNIE MA  
KRUCZE SKRZYDŁA

**#POLSKAFANTASTYKA #FANTASY**



Mury Irkalli drżą.

Inanna, sumeryjska bogini miłości i wojny, przez wieki znana była pod wieloma imionami. Teraz usiłuje żyć jak zwykła śmiertelniczka, ale jej spokój niweczy wiadomość, której nie może zignorować.

**#urbanfantasy #polskafantastyka**

